

Stado – 1 – Pani świata

7 listopada 2010

„Nawet człowiek świadomy prawdy musi postępować zgodnie ze swą naturą. Albowiem istoty żywe idą za głosem swej natury. Na cóż zda się upór?”

Bhagawadgita III – 33

Wakacje powoli dobiegały końca. Mimo, że podczas dnia trudno było wytrzymać z gorąca i kto żyw starał się przebywać w cieniu, to noce były już chłodne. Mary, śpiąca pod niskim, otwartym całą noc na oścież oknem, budziła się rano opatulona kołdrą po samą szyję. Leżała rozbudzona, czekając cierpliwie aż poranne słońce ogrzeje trochę pokój, po czym zrywała się gwałtownie i biegła w nocnej koszuli do matki, która przygotowywała już w kuchni śniadanie. Niezmiennie natykała się na Buca – machając resztkami ogona, skakał wokół niej jak oszalały, przeraźliwym szczekaniem informując cały świat że jego mała pani raczyła się obudzić. Czasami podgryzał dla zabawy gołe, wystające jej spod pościeli pięty.

Mary była rozzagarniętą, rezolutną, dobrze wychowaną, interesującą się całym światem, dziewięcioletnią dziewczynką. Spędzała dopiero drugie w swoim króciutkim jeszcze życiu wakacje u dziadka na wsi. Dziadek, bardzo, bardzo stary, siwy, pomarszczony pan, mieszkał przez cały rok w maleńkim, kolorowym domku pod szumiącym ciągle, nawet w bezwietrzny dzień, lasem. Czasem wydawało się jej, że to właśnie drzewa, kiwając się na wszystkie strony, wywołują wiatr, lecz nie zawsze przecież mają na to ochotę. Nieopodal płynęła żwawo płytka, czysta rzeczka, w której mieszkało mnóstwo przeróżnych żyjątek i rybek.

Mary, o czym wiedziała od zawsze, była pólsierotą. Jej ojciec, syn dziadka, zginął osiem lat temu podczas pożaru na platformie wiertniczej i oczywiście wcale go nie pamiętała. Teraz więc jedynym mężczyzną jej życia był dziadek. Korzystali

więc ze wspólnie spędzanych wakacji jak mogli. Chodzili na długie spacery do szumiącego lasu, przesiadywali godzinami nad rzeczką łowiąc czasem małe rybki które później mama smażyła na wielkiej patelni teścia. Dziewczynka otrzymała od dziadka własnoręcznie przez niego zrobioną wędkę. Nie kupioną w jakimś tam sklepie z fabryczną seryjną tandetą, ale zrobioną ze specjalnie dobieranych, szlifowanych i lakierowanych kijków. Nic więc dziwnego, że uważała go za skończony autorytet, a w każdym razie za kogoś kto wszystko wie i wszystko potrafi. Mamę oczywiście też kochała, ale przecież inaczej. W końcu mama była kimś zupełnie innym. I poza tym, niestety, niestety, kobietą.

Siedziała teraz sobie z dziadkiem na niskiej skarpie nad rzeczką i trzymając nogi w chłodnej wodzie rozmawiała z nim po swojemu o wszystkim. Mama jak zwykle przygotowywała w domu obiad. Słońce pewnie grzało już niemiłosiernie, lecz tam gdzie wypiętrzała się łagodna, porośnięta trawą górką, panował przyjemny, postrzępiony, cienisty chłodek od rosnących wokół dorodnych sosen.

– A dlaczego dziadku, w rzece żyje tyle różnych stworzonek?

– Cóż, pewnie dlatego żeby świat był ciekawy i różnorodny.

– A świat musi być taki różnorodny?

– Chyba musi.

– Dlaczego?

– Dlatego, żeby każdy mógł się jak najwięcej nauczyć.

– A gwiazdy które oglądaliśmy w nocy to też świat?

– Pewnie.

Pytania padały jak wystrzeliwane z karabinu maszynowego, jednak dziadek był już do tego przyzwyczajony. No i lubił to.

- A jak ktoś nie chce się uczyć?
- Każdy musi się uczyć, inaczej nigdy nie zdobędzie gwiazd.
- No ale przecież może zachorować lub... uciec z lekcji. Judy już dwa razy uciekała.
- To i tak musiała odrobić to co było zadane, prawda?
- A jak nie może się uczyć, tak jak głupi Frankie?
- Teraz nie może, ale kiedyś będzie mógł.

Mary przestała na chwilę wypytywać. Musiała przetrwać w małej, blond główce to co usłyszała przed chwilą. Gdzieś w lesie odezwała się kukułka, powtarzająca uparcie, wielokrotnie, swój charakterystyczny sygnał. Może wszem i wobec oznajmiała z całej siły małych płuczek że żyje, że jest? A może po prostu przywoływała w ten sposób zgubionego gdzieś partnera? Kto to wie?

- Kukułek też się uczy?
- Nie mówi się kukułek, tylko kukułka.
- A jeśli to jest on?
- W takim razie na Frankiego powinno się mówić dziewczynek?
- Nie, to by było głupie.
- No właśnie.

Sekunda ciszy.

- Kukułka też się uczy?
- Tak.
- Wie o tym?
- Nie.

- Dlaczego? – w głosie Mary zabrzmiało bezbrzeżne zdumienie.
- Dlatego żeby szybciej i łatwiej się uczyć.
- Ale ja wiem, że się uczę w szkole i mama mnie chwali?
- Ty w twojej miejskiej szkole tak. Ale prawdziwą szkołą jest samo życie. I tutaj taka wiedza byłaby szkodliwa.
- Nikt nie wie, że się uczy?
- Prawie nikt.
- A ty wiesz?
- Wiem.
- A jak już się nauczysz?
- To przechodzę do następnej klasy.
- A ile jest tych klas?
- Bardzo dużo.

Przerwali dyskusję gdyż wędka dziadka zaczęła się ni stąd ni zowąd pochylać. Dziadek złapał ją w ostatniej chwili i fachowo, z klasą, poderwał. Na końcu haczyka zaczepiony był spory łosoś, wywijający teraz ogonem we wszystkie możliwe strony. Starszy pan wyciągnął rybę z wody i odczepiwszy delikatnie, wrzucił do wiaderka w którym pluskało już kilka mniejszych okazów.

- Mama się ucieszy – powiedział do obserwującej go uważnie Mary, i ponownie zarzucił wędkę.
- Czy to je boli?
- Trochę.
- To dlaczego to robimy?

- Bo musimy jeść.
- To kupmy ryby w sklepie.
- A w sklepie to niby skąd się wzięły?
- No..., nie wiem. Skąd?
- Też zostały złowione.
- I też je bolało?
- Też.
- To ja już nie chcę jeść ryb – oburzyła się Mary i zwiesiła głowę.
- A co chcesz jeść?
- Nie wiem. Rośliny.
- Rośliny przecież też żyją, a ich dzieci, nasiona, mogłyby żyć.
- To ja nie chcę nic jeść.
- W takim razie... umrzesz i niczego się nie nauczysz.
- No to nie. – dziewczynka momentalnie stała się bardzo, bardzo naburmuszona.
- Gdyby wszyscy myśleli tak jak ty, to na świecie nie byłoby nikogo.
- Byłyby ryby.
- Ryb też by nie było.
- Jak to?
- Ryby także zjadają inne, mniejsze stworzonka. Również same są zjadane przez inne ryby.

- Tak?
- Jasne. Wszyscy, wszystkich zjadają.
- A kto zjada Buca?
- No... ty, mama, ja.
- Ja wcale go nie jem!
- Zjadasz go, tylko w inny sposób. W taki sposób który jest dla Buca przyjemny. Dla ciebie tym bardziej.
- Jak?
- Przytulając go, bawiąc się z nim. Jeżeli istnienie Buca sprawia ci radość, to znaczy, że go w pewien sposób zjadasz. Swoim sercem i swoim umysłem. Już ci mówiłem, że wszyscy wszystkich jakoś tam zjadają.
- Taki jest świat?
- Tak.
- Czy mnie też ktoś zje?
- Pewnie tak.
- Ciebie też?
- Oczywiście.
- A kto?
- Również ty, mama, a także ktoś o kim nie mam zielonego pojęcia jak wygląda i... czy w ogóle jest.
- Bóg?
- Powiedzmy.
- Będzie nas smażyć?

- Ależ nie. Nas się przyrzadza inaczej.
- Jak?
- Mniej więcej tak jak ty Buca. Albo mama ciebie.
- Czy jest na to rada?
- A tak jak jest, jest źle?
- Chyba tak. Ja nie chcę nikogo zjadać. Nie chcę też żeby ktoś zjadał mnie.
- No ale wtedy nie byłoby Buca, mamy, mnie i innych dzieci. Ciebie też by nie było.
- A nie można nie zjadać i żyć? Albo zjadać tylko... powietrze?
- Jak ktoś koniecznie chce być sam to może, ale trzeba się bardzo dużo uczyć i przejść do najwyższych klas.
- Jak długo?
- Różnie. To zależy od ucznia. Ale czy naprawdę chcesz być sama?

Mary ponownie zamyśliła się na chwilę. Wierzyła dziadkowi bez zastrzeżeń, tak samo zresztą jak i mama oraz wszyscy inni ludzie których już poznała, a którzy czasem przychodzili do dziadka po radę i lekarstwo. Jednak coraz częściej zdawała sobie sprawę, że odpowiedzi jakich udziela jej dziadek, nie są w jakiś tajemniczy sposób pełne, wyczerpujące. Przeczynała też, że na razie, przynajmniej dokąd jest jeszcze taka mała, nie może być inaczej. I rzecz jasna, nie chciała być sama.

Mimo cienia, zrobiło się bardzo gorąco więc musieli skończyć tę słodką pogawędkę. Dziadek poskładał cały wędkarski sprzęt i teraz wracali wolno do kolorowego domku trzymając się za ręce. Starszy pan niósł porozkręcane kije przełożone przez ramię, a Mary małe wiaderko z pluskającymi rybami. Przed nimi maszerował dostojnie milczący Buc, który otrzymał takie imię

od mamy z powodu bardzo przygnębiającego, obrażonego wyrazu psiego pyska. Wracali na obiad, a mama już stała w drzwiach i machała do nich drewnianą łyżką kuchenną.

Po obiedzie zachmurzyło się bardzo i zaczął padać drobny, gęsty deszczyk. Mama przymknęła okna bojąc się, że krople wody zaczną wpadać do mieszkania, a dziadek obejrzał uważnie niebo, pokiwał głową i powiedział, że pewnie lato już się definitywnie kończy. Na jakieś dwa, trzy dni.

W takiej sytuacji Mary zawsze włączała telewizor i do późna oglądała ulubione bajki. Ale tak było w mieście, gdzie mieszkała z mamą na stałe. Tutaj telewizora nie było, więc pozostawała jedynie lupa, też prezent od dziadka, oraz jego mrówczane wiwarium. Lupa była duża, z metalową, niklowaną ramką i bakelitową rączką. Było też co prawda zatrzesienie książek, które wypełniały cały dom, lecz ani jednej z bajkami.

– Dziadku, dlaczego nie masz telewizora?

– Wyrzuciłem.

– Zepsuł się?

– Nie. Wyrzuciłem bo nie chcę oglądać telewizji.

– Dlaczego? – oczy Mary zrobiły się jak dwa spodki.

– Znudził mnie ten głupi cyrk.

– Nawet bajki?

– Nawet.

– To ty już się bardzo dużo nauczyłeś, prawda?

– No tak. Jestem przecież stary.

Mary już, już, miała powiedzieć, że w takim razie pewnie przejdzie niedługo do następnej klasy, ale mama, wyczuwając nietakt, pokręciła delikatnie głową i dociekliwa dziewczynka

zamilkła w porę. Nie na długo jednak.

– Dziadku, pójdziemy na strych?

– Oglądać mrówki?

– Tak.

– Dobrze – powiedział dziadek i po chwili oboje wspinali się mozolnie po stromych schodkach, prowadzących na strych do dziadkowego królestwa entomologii.

Dziadek, emerytowany pracownik pomocniczy Narodowego Instytutu Biochemii, zbudował sobie tam coś w rodzaju laboratorium i muzeum jednocześnie. Wszystkie ściany, a i część pochyłego sufitu przestronnego poddasza, obwieszane były przeróżnej wielkości gablotami, zawierającymi przyszpilone lub przyklejone owady, żaby, jaszczurki, ślimaki, lub inne okazy pełzającej, pływającej czy fruwej fauny. W rogu pomieszczenia stało małe, politurowane wielokrotnie biurko z nieodłącznym, wysłużonym fotelem.

Jednak czymś co natychmiast zwracało uwagę, był wieloczęściowy, podłużny stół, zajmujący całą, środkową część strychu. Zwracał uwagę nie swoją wielkością, ale tym co się na nim znajdowało. Mianowicie wielkie, szklane akwarium zamknięte od góry barwioną na niebiesko płytą, z tysiącami maleńkich otworków napowietrzających, wyposażone w mnóstwo przeźroczystych przegródek, służących również do wzmocnienia konstrukcji.

Wewnątrz egzystowało kilka małych kolonii mrówczanych, rozlokowanych przemyślnie pośród malowniczo usypanych warstw piasku i ziemi, kilkunastu miniaturowych, japońskich krzewów i drzewek bonzai, oraz wijącego się przez całą długość sztucznego strumyka. Nad konstrukcją wisiało kilka lamp oraz promienników podczerwieni, sterowanych z małego urządzenia elektronicznego, symulującego pory dnia i nocy. Uroczy, mrówczany, choć przecież sztuczny świat.

Dziadek, jako wieloletni pracownik podobnie wyposażonej placówki naukowej, napatrzył się już dość na różnorodne hodowle i nie zbudował tego wiwarium z miłości do mrówek czy z potrzeby spokojnego badania ich, mało go w gruncie rzeczy obchodzących zwyczajów. Ta przemyślna konstrukcja była pewnego rodzaju koniecznością, ale również przynosiła mu dodatkowy, niewielki dochód, wspomagający skromną emeryturę.

Wykorzystując nieświadomą niczego kolonię, w własny, oryginalny sposób, produkował drobne ilości zastanawiająco skutecznego leku na reumatyzm. Głównie dla własnych potrzeb, ale i na użytek okolicznych mieszkańców. Odkrył kiedyś, że mrówki, umiejętnie stymulowane małymi dawkami alkoholu etylowego dodawanego do płynącej przez ich świat wody, w połączeniu z okresowym wpuszczaniem do wnętrza kolonii kilku osobników rzadkiego gatunku małych pajęczków, wytwarzają szczególnego rodzaju opary. Pocą się jakby. Wystarczy teraz te opary odpowiednio zebrać, dodać w odpowiedniej proporcji do spirytusu i powstaje znakomita, nawet smaczna, nalewka, likwidująca na pewien czas bóle reumatyczne, zwłaszcza ścierających się połączeń stawowych.

Produkcja oczywiście była nielegalna – specyfik nie miał żadnych państwowych atestów ani zezwoleń. Niemniej, stosowany w okolicy od lat, nie dawał absolutnie żadnych skutków ubocznych, a pozwalał, głównie ludziom starszym, czuć się jak młode sarenki. Z powodu przywróconej mobilności motorycznej rzecz jasna.

Tak więc nieświadome niczego mrówki żyły sobie w swoim oszklonym świecie, przeżywały swoje małe problemy i zupełnie bezwiednie produkowały dziadkowe lekarstwo. Jednak sprawa nie była taka prosta. Ho, ho. Właściwy poziom emisji oparów niełatwo było utrzymać. Alkohol dodawany do wody powodował u nich kontrolowany precyzyjnie przyrost agresji i co rusz dochodziło do prawdziwych, mrówczanych wojen pomiędzy poszczególnymi rodzinami a nawet osobnikami spokrewnionymi bliżej. Tak miało być, gdyż tylko wtedy opary wydzielane były

wystarczająco intensywnie. Należało jednak pilnować aby mrówki nie wytłukły się wzajemnie, lecz wręcz przeciwnie, żeby mimo to mnożyły się obficie na chwałę medycyny. Dodatkowo, okresowa obecność małych, tajemniczych pajęczków, umieszczanych w specjalnych, przeźroczystych pudełeczkach, powodowała zauważalny wzrost jakości tych wydzielin. Pajęczki, które także świetnie się czuły w atmosferze zasilanej niejako przez drobną część oparów, spełniały rolę optymalizującego emisję katalizatora. Nie koniec jednak na tym.

Mrówki „zużywały się”, to znaczy. po kilkudziesięciu mrówczych pokoleniach, produkcja oparów gwałtownie malała i mimo stosowania różnych wymyślnych sposobów, trzeba było całe wiwarium oczyszczać i zasiedlać na nowo. Koniecznie należało wtedy umieścić wśród zadomowionych dopiero co rodzin jednego bądź dwóch osobników z maleńkiej, prowadzonej na biurku hodowli wzorcowej. Dziadek zupełnie nie miał pojęcia jak to działało, zwłaszcza, że po kilku godzinach osobniki „wzorcowe” były przez swoich współbraci okrutnie zabijane i zjadane. Niemniej, bez tej sztuczki cała kolonia nie produkowała wystarczającej ilości oparów, mimo, że zachowywała się praktycznie tak samo. No ale dziadek nie był naukowcem i miał prawo nie rozumieć wszystkich drobnych niuansów mrówczego świata.

Tym razem Mary usadowiła się ze swoim szkłem powiększającym po północno-wschodniej stronie wiwarium, tam, gdzie egzystowała już od jakichś dwudziestu pokoleń wyjątkowo agresywna, stosunkowo liczna rodzina mrówek o czerwonym odcieniu odwłoków.

- Dlaczego te czerwone tak się wzajemnie niszczą i zabijają?
- Taką mają dziwną naturę.
- I dlatego budują takie słabe i brzydkie kopce?
- Tak.

- A ich opary są dobre?
- Bardzo dobre.
- To może niech sobie żyją jak chcą?
- Pewnie.

Jeszcze jedna, tajemnicza sprawa bardzo ją interesowała.

- A dlaczego co jakiś czas kilka mrówek rozłazi się po szkle i przestaje pracować i walczyć?
- Nie wiem, dziecinko. Może to są ich najmądrzejsi obywatele, którzy zaczynają zastanawiać się nad sytuacją i szukają prawdy? Nie wiem.

Mary, choć z oporami, zaakceptowała wreszcie fakt że wszyscy wszystkich jakoś tam wykorzystują, a nawet zjadają i, że w sumie tylko dzięki temu może się odbywać rozwój, postęp. Dobrym przykładem są mrówki. Właśnie zbliża się czas zabrania z wiwarium tych, na razie kilku, ciekawskich okazów. Gdyby tego nie zrobić, pozostałe, normalne, pozabijają te inne i następnie same, w pewien sposób zakażone tymi pierwszymi, bardzo prędko przestaną produkować właściwą ilość pomagających dziadkowi oparów. Porozłożą się bez sensu i bez celu po całym swoim świecie. Może nawet pokonają szklane, nie zawsze przecież wystarczające, uszczelnienia?

- Dziadku, a czy te ciekawskie, przenoszone do lasu mrówki, boją się tego?
- Chyba tak.
- Cierpią?
- Jakiś czas pewnie tak.
- To może je zostawimy tutaj?
- A co z lekarstwem?

To był problem. Mary bardzo kochała dziadka i nie chciała by siedział poskręcany w fotelu przez gości i trząsł się z bólu. Z drugiej strony, mrówki to też Boże stworzonka, chociaż takie małe i nie można z nimi porozmawiać. Musiała wybrać.

– No dobrze – powiedziała niezwykle poważnym głosem. – W takim razie przenosimy je, niech nie zakłócają życia pozostałym.

– Cieszę się – powiedział dziadek, przytulił dziewczynkę i otworzył właściwe okienko wiwarium.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: Golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”